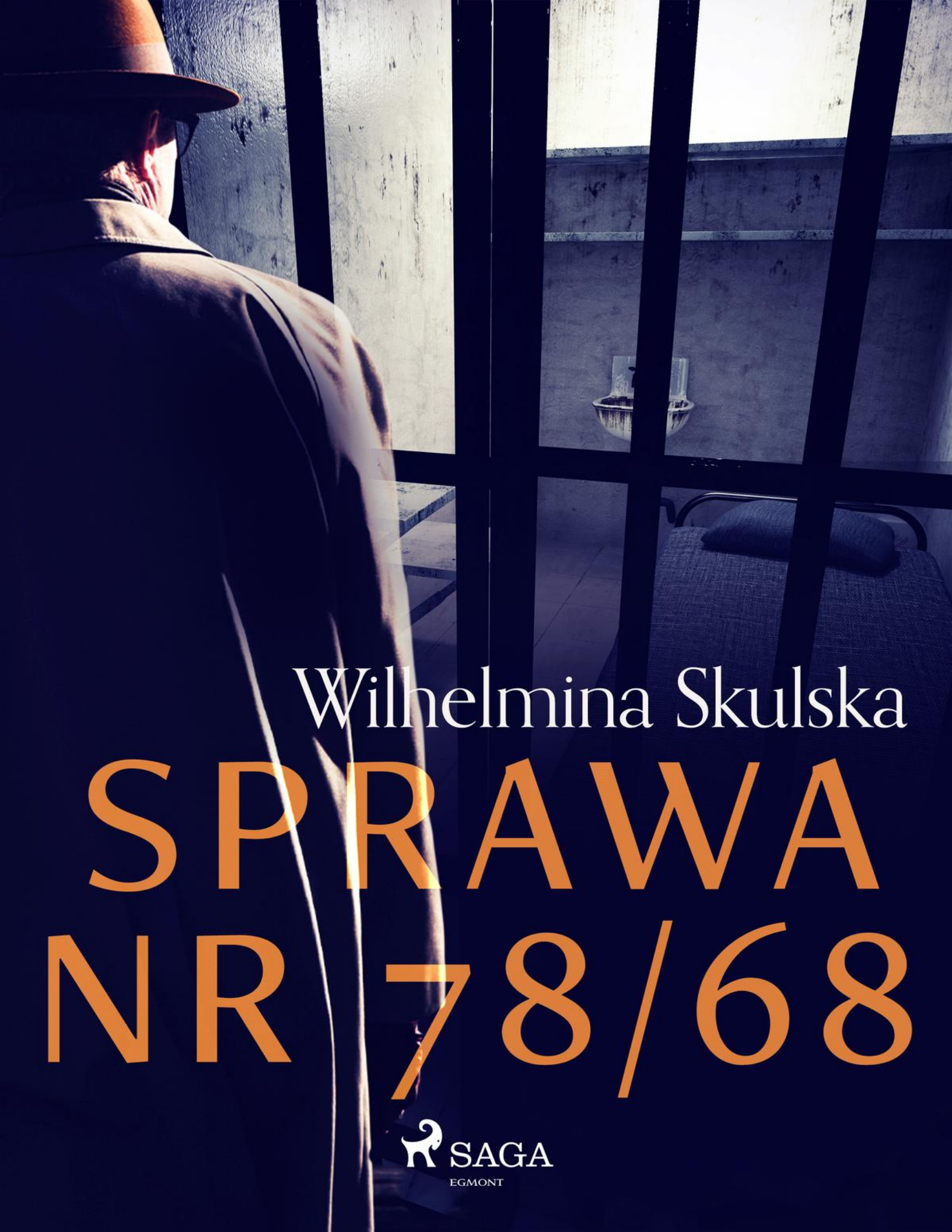




Wilhelmina Skulska

SPRAWA NR 78/68



SAGA
EGMONT

A man in a trench coat and hat is seen from behind, looking out through vertical prison bars. The scene is dimly lit, with light coming from the window, creating a somber and mysterious atmosphere. The man's face is partially visible in profile, and the bars are dark and prominent.

Wilhelmina Skulska

SPRAWA
NR 78/68

 **SAGA**
EGMONT

Wilhelmina Skulska

Sprawa nr 78/68

Saga

Sprawa nr 78/68

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 1974, 2021 Wilhelmina Skulska i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726883145

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą
Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

*Nie szukajcie prawdziwych nazwisk,
adresów, numeru celi więziennej!
Tylko psychiatrzy z Oleśnicy
i eksperci z Wydziału kryminalistyki MO
noszą w tej książce swoje własne nazwisk
Ale historia Wiesława Szwynera
jest prawdziwa,
oparta na dokumentach,
cytowanych w ich dosłownym brzmieniu.
Numer sprawy,
chronologia,
protokoły — nic nie zostało pominięte,
nic nie zostało dodane.
Nie liczcie na rebus kryminalny,
którego rozwiązanie winno być
niespodzianką. Zagadka leży
w sferze przeżyć człowieka samotnego.
Czy zabił?
Jak to się dzieje,
że człowiek skromny,
łagodny, nieagresywny
znalazł się poza nawiasem społeczeństwa?*

Młody, ciemnowłosy mężczyzna, ubrany w przyciasny drelich więzienny, milczał. Spoglądał uparcie na umundurowanych strażników, którzy zajęli pozycje przy drzwiach. Jakby więzień miał jakąkolwiek szansę wyjść, opuścić tę celę.

— Panie Wiesławie! Proszę na mnie spojrzeć. Niech pan spróbuje odpowiedzieć mi możliwie wyczerpująco na jedno jedyne pytanie: jak to się stało, że przyznał się pan wtedy do popełnienia zbrodni?... A dziś, po pięciu latach milczenia, twierdzi pan, że jest niewinny?

Mężczyzna nadal unika mojego wzroku. Skręca w palcach beret więzienny. Nieznaczny ruch zaciśniętych w wąską linię warg obudził moją nadzieję. Może wreszcie przemówi! Nie. Dalej milczy. Wbił wzrok w guziki zielonych mundurów, jakby z nich sobie wróżył.

Próbuję z innej beczki:

— Wiem! Nie ma pan zaufania do obcej osoby... Nie jestem w tej sprawie osobiście zainteresowana. Oto moja legitymacja! Nie stoi pan przed prokuratorem, sędzią. Nie pracuję w milicji! Jestem dziennikarzem. Mieszkam w Warszawie. Do niedawna nic o panu nie słyszałam. To pański ojciec... Wie pan, jak wciąż boleje... Znalazł mnie w hotelu, dzwonił, czekał. Dopiero wczoraj pożegnałam się z pana matką, siostrą. Matka wybiera się na widzenie, szykowała paczkę. Piekła ciasto, kiedy zapukałam do drzwi. Sama je przywiezie...

Nic z tego. Jakby się zaparł, ogłuchł, oniemiał. A więc przyjechałam do Strzelec Opolskich dla przeprowadzenia rozmowy, której nie będzie? Przecież on sam o nią prosił... Ostatnia próba. Zwracam się do strażników:

— Czy panowie pozwolą, że pozostanę z więźniem Wiesławem Szwynerem bez świadków?

Wiem, że woleliby pozostać. Taki dziennikarz potrafi porozrabiać, przekręcić. Czego oni tam nie zrobią dla

sensacji. A potem pisz na Berdyczów. Więzień odsiaduje spokojnie wyrok, nie sprawia kłopotu. Co się nagle stało?

Nie zamierzam się tłumaczyć. Mam w ręku papierek zaopatrzony w podpisy i pieczęcie. Błogosławiona biurokracja. Ociągając się, zamykają za sobą drzwi.

Nie wtrącałabym się w to spokojne, jednostajne życie, odgrozione żelazną kratą, gdyby nie ojciec Szwynera. Na jego zaproszenie wdrapałam się na ostatnie pięterko małej, odrapanej kamieniczki kolejarskiego osiedla. Obok willowa dzielnica — Oporów. To ci, którzy wiedzieli, kiedy do Wrocławia przyjechać. Umieci wytargować willę za domek, pozostawiony w Złoczowie, Tarnopolu. Przed każdym domkiem samochód. Nie zaraz Fiat. Ale chociaż Trabant. W podziemiu garaż, to sól nie chwyci. Jak się należy. Szwynerowie przyglądają się codziennie zamożnym sąsiadom zza miedzy i wzdychają: świat był i jest podzielony. Nie żeby byli zawistni. I nie zgłaszają nadmiernych wymagań od życia. Gdyby nie Wiesław!... Nawet to nieszczęście z Anią jakoś by wytrzymali...

Zebrali się wszyscy w kuchni. Na ścianie ręcznie haftowana makatka: kurczak pieczony, wyszywany niebieskimi krzyżykami. I podpis w kolorze różowym: „Smacznego!” W piecu się pali. Ciasto pięknie rośnie w brytfance. Koło okna siadł ojciec. Jest szanowanym w dzielnicy obywatelem. Kolejarz całą gębą. Choć już nie jest młody, pracuje: Żona nie lata po sąsiadach, nie strzepi języka, dba o gospodarstwo. Córka, atrakcyjna blondynka, przysłuchuje się milcząco rozmowie, karmiąc małego chłopczyka.

— Mąż w pracy? — Szukam kontaktu, porozumienia. Taka młoda, łatwiej tę nić nawiązać...

— Ona nie ma męża — mówi surowo ojciec. — To wszystko zaczęło się od Wiesława.

Dramat na miarę współczesnego Szekspira. Kiedy brat dziewczyny został aresztowany, znalazł się „ustosunkowany” sąsiad, który zapewniał, że wyciągnie Wiesława z opresji. Zadatek pobrał od dziewczyny. Rodzice widzieli, co się święci, ale w takiej sytuacji, kiedy można ratować dziecko... Sąsiad ciągle przyrzekał, że lada chwila Wiesiek zapuka do drzwi. Przyjmowali go, karmili. Jak napisali w gazecie, że syn jest zabójcą i wszystkie te szczegóły, ohydne, nieprawdziwe, nie pokazał się więcej. Wyjechał na delegację służbową. Przedłużała się... Dziewczyna rozpaczała, ludzie gadali. Stary Szwyner chciał ratować dziewczynę z opresji. Odnalazł łobuza, próbował pertraktować. Wrócił niewesoły. Nie patrzył w stronę córki. No i w końcu wyjąkał: tamten nie chce się żenić z siostrą zabójcy. Żeby go ludzie wytykali?... Chowają teraz wnuka.

— Może się jeszcze bieda naprawi...

Co mam mówić w tej sytuacji?

Nie chcieliby już teraz takiego zięcia. Nie naprawi się tego, nie zmieni. Zresztą kochają wnuka. Co on winien?

Los się na nich wziął. Jak mogli fałszywie oskarżyć ich Wieśka? Że przyznał się do popełnienia zbrodni? On się do wszystkiego przyznawał. Jak ktoś stłukł, wyjadł ze spiżarki — brał na siebie. To jest właśnie Wiesław.

— Nie za dużo mówię?

Słowa skierowane były do męża, jakby szukała potwierdzenia u głowy rodziny. To było widać od razu. Stary Szwyner rządził tym domem.

— Proszę podać mi jak najwięcej szczegółów. Chciałabym wiedzieć, jaki on był, ten wasz Wiesiek?

Był pierworodny, był najlepszy. Oddawał matce zarobione pieniądze. Jak coś sobie kupował, nigdy bez niej. Lubił się starannie ubierać. Jak dziewczyna. Patrzył w lustro, żeby krawat pasował do garnituru, wiązał kilka razy. Aż dziwne

było, że taki dbały, czysty. Bo przecież robotę miał czarną, brudzącą.

— Porządni ludzie nie mają szczęścia — przerwał żonie stary Szwyner. — Miałem pechowego chłopca...

Mówili cały czas w czasie przeszłym. Jakby go już nie było na tym świecie. A przecież wystarczyło kilka godzin jazdy, żeby go zobaczyć, uścisnąć.

— Był za dobry — kontynuował stary. — Nic mu nie wychodziło, bo nie miał tej bezczelności co inni. Jako suwnicowy trzy razy przepadł przy egzaminie. Przesunięto go na palacza. Nie protestował. Powiedział, że i tak dobrze. Z natury był nieśmiały. Kiedy ktoś z rodziny do nas przyjeżdżał, nie siadał do stołu. Chował się w swoim pokoju. Spał tam z bratem. Ten jest całkiem inny. Śmiały, wszystko wygimnastykuje. Widzi pani, co do dziewcząt... Bo o to pytali mnie, jego. Nie lubił dziewcząt, unikał ich. Nie chodził tak jak inni na randki, przed dom. Ale jak długo tak można. Szło mu na dwudziesty czwarty rok. Chcieliśmy mu pomóc. Zasługiwał na to. Radziliśmy się z sąsiadami, próbowaliśmy go wyswatać... Umówiliśmy się z tamtą rodziną, co i jak. Byli zgodni. Wiesiek miał pierwszorzędną opinię. O to teraz u młodych trudno. Powiedzieli, że przygotowują kolację. Czekają... Trzeba było przekonać Wieśka. Na początku nie chciał się zgodzić. Ale był posłusznym synem. Wiedziałem, że w końcu pójdzie. Nie żebyśmy mu kazali. Przetłumaczyłem mu: dziewczyna jest porządna, nie pali papierosów, nie pije. Nie znosił dziewcząt, co kurzą. Jak taka przychodziła, wychodził z pokoju. No to matka wyprasowała mu koszulę, spodnie. Wyglądał... pani sama się przekona, jaki to przystojny chłopak.

A więc już mnie mieli „w kieszeni”. Nie mieli wątpliwości, że pojedę do tych Strzelec. Wcale nie byłam taka pewna. Połączenie kolejowe kiepskie, przesiadka. W

Warszawie czekała robota i własna rodzina. Czy bywają łatwe rodziny?...

Szwynier wracał do nieudanej próby wyswatania Wieśka.

— No to w końcu poszedł do tych ludzi. Jak wrócił, od razu wiedzieliśmy, że coś nie wyszło. Za krótko trwała ta wizyta. Zamknął się w pokoju i nie odzywał cały wieczór. Ale jak zobaczył, że matka się martwi, powiedział, że nic się nie stało, tylko żeby go już więcej nie namawiać... Moja stara poleciała do tych ludzi. Mieli wydatki, przygotowali kolację. No i ta dziewczyna... Co ona winna? Zapytałem, czy Wiesiek ich nie obraził, czegoś niestosownego nie powiedział? Wcale nie byli gniewni: syn był grzeczny, przyniósł nawet kwiatki. Zjadł, wypił, nie za dużo. Tylko nic nie mówił. Posiedział kwadrans i poszedł. Czy ich córka spodobała się?.. No i co miałem odpowiedzieć?

Czy człowiek jest tylko wtedy coś wart, kiedy jest z natury bezczelny, agresywny? Znają Wieśka w dzielnicy, wiedzą, że jest wzorowym synem. Kazali z niego brać przykład. Taki nie zabije...

Szwynierowa nie może powstrzymać się od płaczu.

— On tego nie mógł zrobić. Był bardzo wrażliwy. Widok krwi go przerażał...

Ojciec — człowiek rozumny, gorliwy czytelnik prasy, szuka klucza, który uzasadniałby zachowanie się syna. Mówi:

— Nie mieli dowodów, żadnych dowodów. Przyznał się, bo chciał mieć spokój. Jest z usposobienia depresyjny. Przecież ludzie przyznają się do winy nie popełnionej. Ile bywa omyłek... Musiał go ktoś namówić w areszcie albo się bał. Teraz, jak się uspokoił w tym więzieniu, chce mówić prawdę. Musi pani pojechać. Wysłuchać go!

Drzwi się otworzyły. Ktoś wszedł do mieszkania. Sądziłam, że to brat Wiesława.

— Nie! Karol wyjechał na Śląsk. Ożenił się. Ma już dwoje dzieci.

— Zaraz po sprawie wyjechał — dodała matka.

Mąż spojrzał na nią jakby ze złością. A może mi się zdawało? Zapytałam, czy Karol zeznawał na sprawie?

— Nie! Miał prawo odmówić zeznań. Brata sądzono!

— Jeżeli mógł mu pomóc?

Starzy nie podjęli tematu. Dziewczyna wstała, oddała matce wrzeszczącego malca i powiedziała sucho, przekornie:

— Wychodzę! Wrócę późno!

Nie wiem dlaczego, zdecydowałam nagle, że mimo przesiadki pojadę jednak do tego więzienia w Strzelcach Opolskich...

Pociąg odchodzi z dworca wrocławskiego o 6 z minutami. Bary mleczne jeszcze zamknięte. Na szczęście dworcowa kawiarnia otwarta. Będzie można napić się kawy. Włoski ekspres, biała marynarka kelnera. Stoi tyłem, rozmawia z bufetową, w lokalu pusto. Mam kwadrans czasu do odejścia pociągu.

— Czy można prosić na stojąco o małą czarną?

Obłeśna gęba odwraca się do mnie:

— Na stojąco lubimy robić co innego...

Kelnerka aż zachichotała:

— Pani się śpieszy? Trzeba wsiąść do pośpiesznego. Tutaj się czeka. Stolik wolny, można usiąść...

Niech to diabli! Może dadzą kawę u naczelnika więzienia...

W Strzelcach Opolskich okazało się, że są dwa zakłady karne. Jeden dla chuliganów, złodziei, włamywaczy, wszelkiej „drobnicy”. I tam w pierwszej kolejności trafiłam. Szukają na liście Szwynera. Nie ma takiego. Kłócę się, bo wiem swoje. Wartownik pyta, ile dostał?

— Dwadzieścia pięć lat?... To nie u nas! W drugim zakładzie. Tam siedzą zabójcy. — Umundurowany mężczyzna mówi te słowa poważnie, z odcieniem szacunku. Przy takich wyrokach to i żarty się kończą...

Dwie ulice dalej taka sama brama. Naciskam dzwonek.

— Pani do kogo?

— Z Warszawy! — Wyciągam z torebki przepustkę.

Wartownik sięga przez małe okienko po urzędowy papier. Ciężka brama powoli się otwiera. Mężczyzna uśmiecha się życzliwie, zaprasza do wnętrza:

— Niech pani pozwoli z łaski swojej. Prosimy chwilę poczekać!...

Wersal, jak Boga kocham! I nawet kolorowo w tej bramie więziennej. Na sklepionych łukowo starych murach wywieszki: „Zawiadamiamy, że w klubie przy ulicy Dworcowej organizowane są dansingi w każdą sobotę od godz. 19. Zapraszamy miłośników tańca i życzymy dobrej zabawy!” A co, personel więzienny to nie ludzie jak wszyscy?, Nie mają prawa do rozrywki, flirtu tylko dlatego, że ocierają się o ludzkie nieszczęście? A pielęgniarka na oddziale szpitalnym nie lubi się zabawić?... Jaki ten plakat w bramie wesoły: „Z wędką po piękno i przygodę”. Chłopiec i dziewczyna nachyleni nad wielką rybą, która szamocze się w sieci. Napis: „Wędka wprowadzi cię w piękny świat natury”. Czy w tej Odrze, tak zanieczyszczonej, mogą żyć ryby?... Już nie zdążę obejrzeć następnego plakatu. Otrzymuję przepustkę, otwierając drugą z kolei bramę, która prowadzi w mniej piękny świat, do kraju odosobnionych, którzy nie będą go mogli opuścić przez długie, bardzo długie lata. Jestem w zakładzie przeznaczonym dla najcięższych z ciężkich przestępców. I tu znajdę Wiesława Szwynera.

Mój rozmówca otrzymał dożywocie. Generalną uchwałą kara ta została złagodzona do 25 lat. Kiedy za Szwynerem

zamknęła się brama więzienna, miał lat dwadzieścia cztery. Wyjdzie z tych murów na wolny świat, do ludzi, jako pięćdziesięcioletni mężczyzna. Kilka lat pracy... czy będzie do niej zdolny?... i na emeryturę. Do tego czasu należy spodziewać się wcześniejszych emerytur.

Wróćmy jednak do momentu, kiedy pozostałam sama ze Szwynerem w więzieniu dla najgroźniejszych. Mimo próśb, zachęty nie chce usiąść. Wciąż patrzy w stronę drzwi. Coraz mniej szans na rozmowę, która otworzy jakąś furtkę, światło, coś wyjaśni. Cała ta podróż na nic. Wiem, że w hotelu czeka stary Szwyner. Jest na tym świecie margines nadziei dla każdego człowieka. Zawodnej nadziei. Uważam jednak, że mi się należy jakaś odpowiedź od tego trudnego partnera. Formułuję pytanie:

— Co się stało dnia 12 stycznia 1968 roku, między 15.45, do której to godziny pan, jako podejrzany o zabójstwo Ireny Sobczak, uparcie twierdził, że takiej nie znał, nigdy jej nie widział i z nią nie rozmawiał, a godziną 16.30, kiedy po przerwie, trwającej trzy kwadranse, inspektor dochodzenia zanotował w protokole pana zeznania, rozpoczynające się od słów: „Znałem, spotykałem się wielokrotnie. To ja ją zabiłem!...”

„Pękł” — mówią między sobą inspektorzy służby kryminalnej, dla których ta chwila jest kulminacyjnym punktem, ukoronowaniem ich pracy. Później sprawa idzie do prokuratora, do sądu. Jak w niezawodnej taśmie. Jeszcze jest szansa na odwołanie się do wyższej instancji. Rewizja nadzwyczajna! Ale to już nie jest sprawa pionu kryminalnego. Wypełnili swoje zadanie. Podejrzany sam się przyznał. Dochodzenie zamknięto. Sprawa poszła dalej ustalonym torem. A teraz nagle, po pięciu latach, więzień przypomniał sobie, że jest niewinny?

— Ktoś panu groził, krzyczał?... Może chciał pan kogoś osłaniać?

Nie! Nikt mu nie groził. Tylko się bał. I już zdecydował skończyć z życiem. Ale nie zabił! Jego matka wie, że mówi prawdę. Bo on nie kłamie. Nikomu krzywdy nie zrobił. Jak kurę zabijali w domu, to uciekał. Proszę ludzi zapytać. Nawet ten brat zabitej... nie powiedział o nim złego słowa. Bo nie mógł powiedzieć. A przecież go znał. Lubili się...

Trudno mu formułować zdania. Aż dziw! Mężczyzna jak się patrzy, przystojny, schludny — nawet w tym więziennym kitlu. I całkowicie nieporadny. Coś tam musi być... Jakaś cecha charakteru, osobowości?... Ale coraz mniej spotykamy ludzi całkowicie normalnych, których działanie, reakcje nie budzą zdziwienia, niepokoju. A może za dużo wiwisekcji w poszukiwaniu motywacji naszego działania? Życie jest jedno. Trzeba je przeżyć nie sprawiając bliźnim zbyt wielu kłopotów. Ten jest sprawcą cudzego nieszczęścia. Czy jednak jest? Niepokoi mnie zagadka tych trzech kwadransów. Co się zmieniło?... Milicja, wiadomo, ma swoje sposoby. U nas i na całym świecie. Sztuka prowadzenia przesłuchania oparta na znajomości psychologii drugiego człowieka — czy raczej patologii... Są metody i sposoby, żeby skłonić podejrzanego człowieka do zeznań. Nie myślę o szykanach natury fizycznej. Zresztą jaki bandzior przestraszy się uderzenia? Nie, to nie tak. Inspektor może, niby prestidigitator, wyciągać raz po raz z rękawa niespodzianki w postaci zaskakujących informacji. Szach, mat królowej! Jeżeli przeciwnik nie jest zanadto wyrafinowany — musi się w końcu zdradzić. Można mieć wystarczającą ilość dowodów rzeczowych i zagrać *va banque*. Odebrać szansę obrony!

A może Szwyner doznał wyrzutów sumienia? Nie możemy negować istnienia takiej reakcji, znanej skądinąd z literatury i zaklasyfikowanej przez psychologów do grupy tzw. uczuć wyższych... Nie uwierzę w to! Został zatrzymany przeszło cztery miesiące po tragicznej śmierci tej

dziewczyny. W międzyczasie pracował, zapisał się na kursy, urządził imieniny i zaprosił na nie brata zamordowanej. To nie sumienie go ruszyło! Zeznawał przecież w dniu 11 stycznia 1968 roku przez cały okrągły dzień. Mówił: „Nie znam dziewczyny. Na oczy jej nie widziałem”. 12 stycznia powtarzał tę swoją prawdę. Inspektor przesłuchujący go chciał już zrezygnować. Mieli po uszy tej sprawy Sobczak. Ale następuje przerwa na obiad. Czterdzieści pięć minut. Za chwilę Szwyner podpisze się pod gęsto zapisanym arkuszem protokołu i wyjdzie na oświetloną zachodzącym słońcem, znajomą ulicę Wrocławia. I nagle o 16.30 „pęka”. Przyznaje się do winy!...

— Rozumiem! Przestraszył się pan indagacji inspektora, atmosfery pierwszego w życiu przesłuchania... Ale później? Był pan pod opieką lekarzy, w Oleśnicy. Opowiadał pan wielokrotnie wersję zabójstwa. Brał pan udział w eksperymencie. Opowiedział szczegół po szczególe przebieg tego wieczoru.

Uzyskałam tyle, że wyprowadziłam z równowagi milczącego, upartego więźnia, który stał przede mną jak uczeń karcony przez nauczycielkę. Bełkotał jakieś słowa, nie patrząc w moją stronę. Zrozumiałam, że nie potrafi się wytłumaczyć. Chciał mieć spokój od świata.

Wciąż powtarzał swoje:

— To jest niemożliwe, żebym ja zabił. Niech pani zapyta kogokolwiek, sąsiadów, brata tej Ireny...

Zamilkł. Patrzy w stronę drzwi. Wiem! Chciałby się znaleźć szybko po drugiej stronie, przejść długim korytarzem, usłyszeć za sobą brzęk oddziałowej kraty, uspokoić się w ciszy własnej celi. Rezygnuję!... Do pokoju zagląda rumiany pyknik z działu penitencjarnego. Ten jest na pewno wodzirejem sobotniego dansingu. A może jest odwrotnie? Może wygląda jak pyknik, a jest sfrustrowanym nieszczęśnikiem, jak ten więzień, który szuka spokoju?...

Mnie też dziś niewesoło. Nie posunęłam się na krok naprzód. Nic nie wiem. Mniej aniżeli wtedy, kiedy przekraczałam próg zakładu karnego Strzelce Opolskie nr 1. O czym tu mówić? Zagadka została już rozwiązana przez służbę kryminalną. Prawidłowość jej rozwiązania potwierdził wyrok sądu. Sprawa jest zamknięta... To prawda. Ale czy nie bywają omyłki? Znane, opisywane w prasie. Pamiętam pewną historię omyłki, opowiedzianą mi przez urzędnika nadzoru sądowego. Miał w swoich rękach tę historię, był świadkiem aktywnym naprawiania błędu, który zabrał niesłusznie zasądzoną siedem lat młodości... Ofiarą był mąż. Niedobre pożycie małżeńskie. Sąsiedzi wiedzieli o istniejącym trójkącie, gorszyli się i gorliwie, nie bez złośliwości, obciążali żonę nieżyjącego. Przed sądem stanęli oboje: żona i jej kochanek. Mężczyzna przyznał się do współudziału w zbrodni. Opisywał ze szczegółami pomoc, a nawet inicjatywę zbrodniczego czynu ze strony kobiety. A ona uparcie podtrzymywała wersję swojej niewinności. Skazano tych dwoje. A po siedmiu latach okazało się, że żona była niewinna. Kochanek kłamał, chciał ją pociągnąć za kraty. Dzielny prokurator, uparty człowiek, walczył siedem lat o uratowanie niesłusznie skazanej. I wygrał! Minęło jeszcze kilka lat. Zabójca, już niemłody człowiek, w obliczu śmiertelnie zagrażającej mu choroby, przyznał się do fałszywego oskarżenia.

A jeśli ktoś był zainteresowany w tym, żeby pogrążyć Szwynera?...

Zapytałam już bez większej nadziei... ot tak, żeby zamknąć kartę Strzelec Opolskich:

— Czy mogłabym rozmawiać z wychowawcą oddziału, na którym siedzi Szwyner?

Czekał na swego podopiecznego nudząc się na korytarzu. Odprowadzi go teraz na oddział i zaraz będzie do mojej

dyspozycji. Czy mógłby wstąpić po drodze do sekretariatu, żeby podstemplowali moją delegację? Mogę zapomnieć!...

Wrócił ze stemplem, grzeczny, wesoły, pełen dobrej woli... Jest sam bardzo młody. Ma lat 23. Skończył szkołę i kurs penitencjarny. Od kilku miesięcy zajmuje się wychowywaniem więźniów, tych najtrudniejszych. Ma rozwiązać zadanie, nad którym biedzi się bez większego powodzenia cały świat. Twierdzi zresztą, że najlepiej pracuje się z więźniami, którzy odsiadują długie wyroki. Najtrudniejsi są więźniowie młodzi, a już zdemoralizowani: brutalni, pozbawieni kultury. Wsadzają ich czasem do jednej celi z przestępcami gospodarczymi. To są ludzie obyci, grzeczni. W tym zestawie nie ma obawy infekcji. Chuligan nie pretenduje do roli fałszerza w księgowości. Oszust dewizowy nie przekwalifikuje się na włamywacza.

Do rozmowy włączyli się dwaj bardziej doświadczeni i chyba starsi rangą pracownicy penitencjarni. Przynieśli sobie kawę, poczęstowali gościa. Zawsze to jakaś sensacja — przyjazd dziennikarza, i to ze stolicy.

— Pani redaktor się śpieszy? A myśmy zaprojektowali na dziś spotkanie.

— Na temat?

Mają zapewne też swój plan zebrań. Jest sposobność do zaliczenia...

— Chodzi o artykuł w tygodniku „Kultura”. Pod tytułem „Grypsera”. Pamięta pani? Artykuł został w naszym zespole krytycznie przyjęty. Czy można opierać swój sąd o stosunkach w więzieniu na relacji lokatora tych murów? Czy nie byłoby słuszniej skonfrontować opinię przestępcy z naszą?...

Rzeczywiście napisałam taki artykuł. Po rozmowie z mężczyzną, który wyszedł z więzienia po odsiedzeniu kary. Dzwonią do mnie czasem tacy klienci. Pomogłam mu w znalezieniu pracy. Chciał się jakoś odwdziżyć.

Zaserwował mi wiązkę sensacji. Taka była jego prawda o więzieniu... Ale żeby do Strzelec dotarł artykuł opublikowany w literackim tygodniku?

Okazuje się, że wiedzą, czytają. Nie wszystkie tygodniki, ale „Politykę”, „Kulturę” — zawsze. Co do „Grypsery” — odbieranie karze więzienia waloru resocjalizacyjnego wydaje im się niesłuszne i szkodliwe.

Powiedziałam — może nie najuprzejmiej, kto z nas lubi być krytykowany — że skłonna jestem przyjąć zaproszenie na dyskusję, ale nie dziś. Przyjechałam w określonej sprawie do Strzelec Opolskich...

Szwynier! Nic więcej o nim nie mogą powiedzieć. Jest ich czterech w celi. Trzech zabójców i włamywacz. Jeden zabił własną żonę. Drugi dla pieniędzy też zamordował. A Szwynier, wiadomo! Zabił na cmentarzu dziewczynę. I do tego nieletnią. Ten Wiesław jest inny aniżeli ta trójka. Tamci wciąż ze sobą rozmawiają. W dzień, w nocy. Opowiadają sobie nieskończoną ilość razy, jak to zrobili, dlaczego, z kim. Analizują wszystkie szczegóły raz po raz. Tylko on jeden milczy! Nie odzywa się. Prosi, żeby mu dali spokój. Mówi, że potrzebny mu jest spokój, żeby wytrzymać wyrok... Taki wyrok. Kończą się żarty, przymus udziału w „drugim życiu”. Jego nie zmuszą „za parówę”, za „cwynę”. Rozumie pani?... Zdarza się w więzieniu... mężczyzna do mężczyzny... jak do takiej na ulicy.

— A opinia administracji więziennej o Szwynierze?

— Nic mu nie można zarzucić. Posłuszny, cichy. Uczy się na szewca. Tyle że milczy. Nie wygląda na mordercę. Ale skoro się przyznał? Widać zabił. Nikt nie zainkasuje za frajer dwudziestu pięciu lat więzienia... Pani redaktor nie widziała tego filmu? No, tego filmu z wizji lokalnej. Czarno na białym... Pokazuje sam, jak zabił!

Ulicą Świdnicką idzie młody mężczyzna. Ubrany w porządną jesionkę, kołnierz lekko podniesiony, w ręku gazeta. Jest ciemnowłosy, ostrzyżony na jeża, przystojny. Towarzyszy mu, nie odstępując na krok, w pewnej odległości — młody człowiek w towarzystwie wspaniałego owczarka alzackiego. Zatrzymują się przy barze „Tempo”. Mężczyzna w jesionce wchodzi do wnętrza. Udaje się najpierw do kasy, płaci. Otrzymuje resztę. Kelnerka podstawia pusty kufel pod złocisty, pieniący się płyn. Mężczyzna czeka, aż szkło napełni się piwem. Wypija je. Teraz wychodzi z baru, udaje się do kawiarni „Sezam”. Oddaje palto do szatni. Siada przy stoliku pod ścianą. Jest niespokojny. Spogląda na zegarek, na drzwi wejściowe. Ale nikt znajomy w nich się nie pokazuje... Kawiarnia jest wciąż pusta. Naprzeciw samotnego gościa ustawiło się pod ścianą pięć młodych kobiet. Ubrane w koronkowe bluzeczki, białe fartuszki. Gapią się na klienta, ale miny mają zakłopotane. Żadna do niego nie podchodzi, nie zapyta: „Co panu podać?”... Klient chwilę posiedział, potem widać się znudził. Wstaje, idzie do szatni. Nakłada płaszcz, opuszcza lokal, kierując się do najbliższego postoju taksówek. Za nim, w pewnej odległości, gęstniejący tłum gapiów. Ludzie są ożywieni, szturczą się, przepychają jeden przez drugiego. Mężczyzna w jesionce nie odwraca głowy. Szofer wie, dokąd jechać. Na twarzy pasażera, kiedy wsiada do wozu, widać wyraz ulgi.

I oto jesteśmy na terenie parku pocmentarnego. Ogołoczone drzewa. Krajobraz zimowy. Dróżką idzie nasz brunet w towarzystwie młodziutkiej dziewczyny. Rękę położył nieśmiałym ruchem na piersi partnerki. Obejmuje ją. Mężczyzna jest słusznego wzrostu. Partnerka dużo niższa. Prawie unosi dziewczynę w powietrzu... Teraz stanęli naprzeciw siebie. Brunet mówi gwałtownie,

namiętnie. Może ją kocha, a może czyni jej wyrzuty. Nagle uderza ją w twarz. Czemu bije dziewczynę?

Ktoś jej broni, podbiega do tej pary. Chwyta w ramiona prześladowaną, biegnie z nią w głąb parku. Brunet goni porywacza. Potknął się o przeszkodę. Schyla się. Na ziemi leżała pusta butelka. Podnosi ją, ciska w kierunku uciekającej dziewczyny. Trafił. Porywacz wypuścił ją z rąk. Ofiara pada na ziemię. Leży nieruchomo. Ten drugi, co ją ratował, znikł, jakby się pod ziemię zapadł. Brunet nachyliła się nad partnerką, którą przed chwilą pieścił. Teraz chwyta ją za gardło, dusi. Nieszczęsna nawet się nie broni. Mężczyzna zdejmuje z niej dżinsy. Nie takie „Riffle”, co można je nabyć w PKO na bony. Widać, że to teksasy z wrocławskiego cedetu. Taniocha! Napastnik szarpie te wiotkie spodenki, ale przeszkadzają mu botki na nogach dziewczyny. Zdejmuje je, odrzuca na bok. Poleciały na pobocze dróżki. Ściąga z niej majtki. Teraz spodniami owija szyję leżącej dziewczyny. Zaciska nogawki w węzeł, coraz mocniej i mocniej. Potem kładzie się obok niej. Ale zaraz wstaje, ucieka...

Widzimy go na końcowym przystanku tramwaju, przy pętli na wrocławskich Krzykach. Spojrzał na ubranie, zauważył, że jest zabrudzone. W obłędnym pośpiechu czyści je za pomocą chusteczki zwilżonej śliną — plamy są na spodniach i marynarce... Czy zdąży? Bo już nadjeżdża tramwaj. Mężczyzna wskakuje w biegu. Tramwaj zakręca, znika nam z oczu. W parku pozostała dziewczyna. Leży nieruchomo, sztywna, szczerzy w uśmiechu idealnej białości zęby.

A swoją drogą mogli wybrać mniej wesolutki manekin. Może nie znaleźli? Trudno podejrzewać kierownika cedetu o dowcip czy złośliwość po otrzymaniu od naczelnika wydziału kryminalnego MO listu następującej treści:
„Zwracam się z uprzejmą prośbą o wypożyczenie manekina

dziewczęcego, wysokości 150 cm, który jest potrzebny w prowadzonym śledztwie”.

Z pewnością lepiej byłoby posługiwać się w eksperymencie żywą dziewczyną. Ale wątpliwe, czy pracowniczka milicji podjęłaby się odegrania takiej roli. Na przykład ta scena z podawaniem szyi mordercy... Szwyner może być wariatem, maniakiem. Nie! Nikt by się nawet nie odważył zaproponować... Co prawda z manekinem były pewne niewygody. Trzeba było podbiec, złapać lalkę, markować ucieczkę... Przecież brunet z pewnej odległości rzucił w nią butelką. Film odtwarza prawdziwy, autentyczny przebieg dramatycznego zajścia.

— Koniec rolki — powiedział operator. I zaraz zapaliło się światło. Ekran błysnął plamą, od której odcinał się napis: „Wizja lokalna zabójstwa Ireny Sobczak przy udziale Wiesława Szwynera”.

— Znam ciekawsze przypadki — mówi kpt. Gałęcki. — Dziesięć lat pracy w wydziale kryminalnym. Co tydzień powieść. Na emeryturze spiszę to wszystko...

— Pamiętam taką sprawę gwałtu... Ale dziewczyna została *intacta* — powiedział mały blondyn w cywilu. — Morderstwo miało tylko tło seksualne... Nie pamiętasz tej sprawy?... Skleroza w młodym wieku i tyle!... — Mówić o sklerozie w obecności Dadeja? — Bolek! Co ty tam robisz?

Dr Dadej podniósł siwą głowę, pochyloną nad czymś w rodzaju rajzbretu. W pokojach, w których mieści się laboratorium kryminalistyczne — ciasno. Jest poniedziałek rano. Niedziela minęła spokojnie, nie pozostawiła remanentów. Tylko doktor medycyny — kpt. Dadej, obstawiony różnymi chemikaliami, rozpina na stole coś, co wygląda jak kawałek dziurawego wołoku szarego koloru. Umacnia szmatę szpileczkami, wygładza. Wołok okazał się wycinkiem skóry nieżyjącego człowieka. Pogotowie

stwierdziło śmierć na skutek rany. Denat nadział się na jakieś żelastwo. Ale Bolesław Dadej ma wątpliwości.

— Czego można wymagać od lekarza z rejonu? Stwierdził śmierć, ranę i koniec. Nie ma nic do roboty. A dla mnie się zaczęła. Nie podoba mi się ten przypadek!

— No i widzisz, jak te szare komórki u Dadeja pracują. Uczcie się, dzieci. On pamięta na pewno sprawę Szwynera. Pięć lat, kawał czasu... To ten, co z tą małą dziewczynką, na cmentarzu... Pani redaktor ma wątpliwości co do winy zabójcy?

— Dziennikarzom płacą za to, żeby mieli wątpliwości — zauważył blondyn. — Pan major zetknął się z tą sprawą?

Major Jan Długołęcki — humanista z zainteresowań — uważał, że sprawa Szwynera zmusza do zastanowienia. Dlaczego nagle się przyznał? Ten chłopak nie był zdemoralizowany. Dziewczyna nie miewała przygód...

— Znam te świętoszki — westchnął blondyn. — Gdzie te dziewczęta z naszych pól? Może poczytacie sobie liścik chłopaczka, którego się głaszcze po głowie. Pozwoliliśmy sobie naruszyć tajemnicę korespondencji...

Spojrzał na mnie i dodał:

— List jeszcze nie trafił do skrzynki. Ujawniony w czasie operacji „Porządek”. Chodzimy po melinach, dworcach, wymiatamy brudy. Zatrzymaliśmy smarkacza. W kieszeni miał procę, dwadzieścia złotych, jedną gumę do żucia i nie wysłany list. Poczyta pani?

Pomięta kartka papieru, dziecinne pismo: „Krzysiek! Przyjedź w niedzielę. Jest okazja przebić automacik. Skowron wczoraj przebił jeden w parku szczytnickim na ławce. Trochę piszczała, ale potem była zadowolona. W ubiegłą sobotę u Bolka był ubaw na całą noc. Migdaliliśmy się z damulkami. Było w dechę, możesz mi wierzyć...”

— No i co z tego? — zapytał kpt. Gałęcki. — Co ten głupi list ma wspólnego ze sprawą Szwynera?... Nie było tam